

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

15-21 czerwca 2004 r.

NR 6 (15)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

## Dogrzeni wreszcie słońcem, drodzy Czytelnicy

Serdecznie dziękujemy za miłe przyjęcie artykułów o Zofii Urbanowskiej. Poszerzyły one podobno znacząco dotychczasowe szkolne wiadomości. Jesteśmy również usatysfakcjonowani pozytywnym odzwiekaniem na prośbę o zapalenie naszej wszak Zofii lampionów w dniu jej imienin.

Aby jeszcze bardziej zaspokoić rozbudzoną ciekawość o pisarce, Leszek Hejman zapoznaje nas z ciekawymi Jej spostrzeżeniami o mieście i jego obywatelach. Wzruszającą jest troska pisarki o najuboższych. Wyjątkowo poruszył nas list

pani Jadwigi Grzegorzczak dotyczący grupy dzieci sprzed dworku Urbanowskiej, gdy było tam już przedszkole. Proszę zajrzeć na czwartą stronę do rubryki „Listy do redakcji”.

Kontynuujemy również cykl o naszych „zwykłych-niezwykłych”. Dziś o znanej działaczce na niwie kultury pani Czesławie Henzelman, pióra jej córki Wandzi Wiśniewskiej-Kuzniak.

Nieskromnie polecam również wywiad z ostatnim konińskim cyrulikiem herbu Jastrzębiec.

Wywiad zbiegł się szczęśliwie z 75-leciem istnienia zinstytucjonalizo-

wanego konińskiego rzemiosła, którego p. A. Świącicki jest honorowym członkiem.

„Dopadliśmy” wreszcie „wiernego aż do bólu starokoninianina”. Przedstawiamy jego ciekawe spostrzeżenia o zapachach miasta. Więcej znajdzie czytelnik na stronie trzeciej.

Tamże informacja Janusza Gulczyńskiego o wystawie, której nie można nie obejrzeć.

Mirka Dimitrow rozpoczyna cykl „Konińskie podwórka” – najwyższy czas, bo zaczynają znikać z pejzażu miasta. „Stare konie” w nieco zmienionej formie, ale chyba równie ciekawie.

Życząc przyjemnej lektury, przypominam, że jesteśmy w permanentnym oczekiwaniu na Państwa teksty, propozycje, zapytania, uwagi etc. etc.

**Stanisław Sroczyński**

PS

Proszę zwrócić uwagę na skargę Mirki Dimitrow, którą, wbrew Jej artystycznym odczuciom, zmusiliśmy do narysowania dworku Urbanowskiej. A jeżeli to Mirka ma rację?!

Prosimy Czytelników o wypowiedzi w tej sprawie. Mogą być również spostrzeżenia dotyczące innych zagadnień.

## Z kart przeszłości

# Z korespondencji Zofii Urbanowskiej

Gazeta Polska w 1870 roku w numerze 53 zamieściła drugą z kolei korespondencję Zofii Urbanowskiej. Młoda publicystka na wstępie artykułu stwierdziła, że w prowincjonalnym miasteczku niepodobna pozostać nieznaną. Pisała: „..... Życie towarzyskie byłoby jeszcze żywsze gdyby składająca je społeczność więcej solidarności miała, lecz dzieje się przeciwnie. Obywatele zamożniejsi czyli tzw. arystokracja, unika stosunków z uboższymi, a z mieszczańami wcale się nie łączą, ci ostatni postępują w ten sam sposób z niższymi od siebie.” Dalej informowała czytelników gazety warszawskiej o balu karnawałowym, jaki miał miejsce

w Koninie „..... Bal liczbą zgromadzonych osób i świetnością toalet zaćmił poprzednie, damy jak zawsze wszystkie były piękne, pełne wesołości i wdzięku – wytwornością stroju przekonały nas o zamożności mieszkańców”. Dokuczliwe były utrzymujące się mrozy (do -20 stopni C), które dotkliwie dały się we znaki najuboższej ludności. „..... Słyszeliśmy o kobiecie, która ostatnie sprząty porządkowała na ogniu dla ogrzania przeciwniętych dzieci, inne nie mając czym odziać, ani przy czym ugotować kołatły do drzwi zamożniejszych domów o trochę strawy dla zgłodniałej rodziny. Konin nie ma tanich kuchni. Groszowe wsparcia litościwych osób,

to środek bezsilny wobec nędzy. Dobry on jest na dziś – lecz cóż będzie jutro?”

W dalszej części korespondencji poinformowała o znajdującym się w kościele poreformackim obrazie NMP Niepokalanie Poczętej pędzla Alfreda Schuppego. „..... Wykończony z niezmierną starannością pomimo niektórych wad kompozycji, nader miłe sprawia wrażenie. Faldy ubioru i postać cała dziwnie przejrzysta, zdaje się rozplywać we mgłę i eterze, w twarzy trochę za mało życia lecz wiele powagi i spokoju”. Autorka żałuje, że w mieście nie ma osób muzycznych i nie ma chóru kościelnego, któryby w święta zastąpił „nosowe dźwięki ochruplego organisty”.

Korespondentkę martwi coraz wyższa cena drewna opałowego i w imieniu mieszkańców Konina zadaje retoryczne pytanie: „..... co będzie jak go zupełnie zabraknie i do jakich cen dojdzie kiedy będziemy zmuszeni sprowdzać je z daleka?” Pisze o bogactwie Ziemi Konińskiej, o alternatywnym opale, pokładach torfu i węgla drzewnego „..... powiat koniński posiada obfite pokłady torfu, a w Brzeźnie znajduje się węgiel drzewny (kamienny?), na kilka stóp pod zwierchnią warstwą ziemi. Właściciel majątku nie zwrócił dotąd uwagi, że skarby leżą przed nim ukryte i trzeba je tylko wydobyć. Widzieliśmy kilka odłamów i zdaje się nam, że kosztą eksploatacji zwróciłyby się w dwójnasób właścicielom!”.

Urbanowska ubolewa, że chociaż „druć elektryczny związał nas z Warszawą przy końcu zeszłego roku”, to kolej żelazna, która miała ułatwić stosunki komunikacyjne, podnieść nasz handel i przemysł, pójdzie z Oleśnicy przez Kalisz do Łodzi, a nie przez Słupcę i Konin do Kutna. W części końcowej odnosi się do sprawy higieny ciała mieszkańców Konina, zauważając niejako przy okazji zły stan restauracji i hoteli, którym na czystości i wygodzie bardzo zbywa. „..... Posiadamy kilka letnich, wygodnie urządzonych łazienek, za to w ziemie zupełnie pozbawieni jesteśmy kąpeli bo nikt nie chce wyłożyć kosztów założenia ich z obawy zawodu – chociaż sama liczba ludności i głośno wyrażone życzenia wielu osób powinny usunąć te wątpliwości”.

Fragmenty z „Korespondencji z nad Warty” Zofii Urbanowskiej wybrał i tekst opracował Lech Hejman



Kościół przy klasztorze oo. Reformatów

Tworzyli wizerunek miasta

Cykl „Konin, jaki pamiętam” dedykujemy tak szybko kurczącej się gromadce osób, które pamiętają miasto takie, jakie my możemy oglądać jedynie na starych pocztówkach.

## Cyrulik herbu Jastrzębiec

I nie jest to ani przekłamanie, ani żart, ani broń Boże kpina czy ironia. Bowiem nasz bohater jest najstarszym, żyjącym w mieście, praktykującym – bardziej pewno dla przyjemności niż pieniędzy – mistrzem sztuki balwerskiej.

Pan Antoni Świącicki, dobiegający sześćdziesiątą, jest po dziadku, landracie z Kościana, właśnie szlachcicem herbu Jastrzębiec. (Notabene stracony przez Niemców za odmowę udziału w wojnie francusko-niemieckiej).

Natomiast profesję cyrulika (sic!) zdobył w zakładzie sławnego w Koninie pana Strykowski. Zakład działał w mieście, gdzie dzisiaj istnieją sklepy pod nieco intrygującą nazwą „krokodyl”. Pan Strykowski miał prawo wywieszania przed swoją razurą trzech dużych miedzianych talerzy – świadczyło to, że mógł również robić zastrzyki, stawiać banki, dokonywać, niektórych prostszych zabiegów chirurgicznych oraz wyrwać zęby (wg 50-tomowego słownika poprawnej polszczyzny).

Panu Antoniemu Świącickiemu wolno było wywieszać dwa talerze – w związku z czym z bolącymi zębami trzeba udąć się gdzie indziej. Talerze oznaczały po prostu profesję felczera. (Spod ręki pana Strykowskiego wyszli również znani konińscy fryzjer-

zy: Ganowicz, Kozłowicz, Majdziński, Dziubczyński i wielu innych).

Pan Antoni, honorowy członek cechu konińskich fryzjerów, był, a właściwie jest niestrudżonym społecznikiem. Jego zainteresowania i działania wystarczyłyby do zapewnienia wolnego czasu dobrym kilkunastu osobom. To on pierwszy zainicjował działalność konińskich klubów szachowych, gdzie zaczynał legendarny Warwas, wspólnie zresztą z Labudą, Terpińskim, Millerem i Okołowiczem.

Był pan Antoni założycielem chóru „zbowidowskiego” oraz chóru rzeźmińskiego. Śpiewanie było jego drugą po szachach namiętnością. Wszystkie miejsca i okazje – zarówno kościelne jak i świeckie – były dobre, aby pośpiewać samemu bądź w grupie. Każde Boże Ciało było uświetniane jego chórami.

(Z rozrzewnieniem wspomina swoją współpracę z księdzem Trzaskowskim i ojcem Mikołajem Lechwarem (odznaczonym ostatnio konińską statuetką Benedykta).

Antoni Świącicki doskonale pamięta również czasy bardziej odległe. Opowiada barwnie o przyjeździe Marszałka Piłsudskiego do pięknie udekorowanego Konina w dniu 21 lipca 1921 roku. Wzruszony mówi, jak wyprzęgnięto konie i młodzi chłopcy sami ciągnęli bryczkę aż przed Starostwo. Rozba-

wiony wspomina, jak Marszałek zaśmiewał się i klepał po udach, gdy uczestnicy zabawy „zjeżdżali” z namydlonego słupa, nie mogąc sięgnąć nagrody umieszczonej na czubku tegoż. Wszystko odbywało się na blichach w okolicy krzyża ks. Tarejwy. A świadkiem był nacożnym, ponieważ tańczył przed Marszałkiem krakowiaka z różniczną grupą.

Ale jeszcze teraz bardzo się denerwuje, gdy opowiada o jednej z większych powodzi, tej z roku 1924. Miasto było zalane do tego stopnia, że plac Wolności był praktycznie wyspą, jedynym kawałkiem suchej ziemi. Mieszkańcy w pilnych sprawach przemierzali się pływając po prostu w baliach. Most drewniany był uszkodzony przez gwałtownie rwącą wodę.

Opowiadając o dawnych starożeczach i licznych mostach, swobodnie operuje dawnymi nazwami ulic: Brodga, Ogrodowa, Nowa, Bożnicza, Bruwarna, Zielona.

„Kapakz” to zniekształcona nazwa Kaukazu, przywieziona do Konina przez służących tam w rosyjskim wojsku naszych rodaków.

Z szacunkiem wspomina przedwojennego burmistrza Ludwika Ganowicza, który mądrze potrafił zorganizować prace publiczne dla niemałej grupy bezrobotnych. Roboty były tyleż proste, co jednak niezbędne. Zasypy-



Antoni Świącicki (z lewej) przed swoim zakładem

wano słynne konińskie bagniska oraz starorzeczka Warty, przygotowując zupełnie przyzwoite polacie terenu pod dalszą rozbudowę miasta.

Czasy okupacji próbował godnie przeżyć w Koninie, korzystając z faktu, że jego profesja jest potrzebna w każdym politycznym porządku. Udało mu się pomóc wielu ludziom. Jedną z uratowanych, przed wywózką do prac przymusowych w Rzeszy, była młodziutka nauczycielka pani Jadwiga Dobrecka – zatrudnił ją fikcyjnie jako manikiurzystkę. Signum temporis!

Obraz pana Antoniego nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o wiernie wspierającej go przez te wszystkie lata

żonę oraz udanych dzieciach, z których jest zresztą bardzo dumny. Lekarz, prawniczka oraz najbardziej znana, Mirosława, znakomita artystka scen poznańskich, szczególnie operetki. To ona zagarnęła najwięcej ojcowskich genów odpowiedzialnych za uzdolnienia artystyczne.

I tyle było do okazania z ciekawego życia pocziwego konińskiego obywatela, pana Antoniego Świącickiego herbu Jastrzębiec.

**Tekst artykułu opracował na podstawie rozmowy z najstarszym konińskim cyrulikiem – Stanisław Sroczyński**



## Animatorka kultury Czesława Henzelman

W latach 50. funkcję osiedlowego domu kultury dla mieszkańców budującego się „nowego Konina” pełniła remiza Ochotniczej Straży Pożarnej w Czarkowie. Obiekt postawili strażacy na krótko przed wybuchem wojny. Wśród organizatorów jednostki byli Józef Tarłowski i Maksymilian Wiśniewski. Podczas uroczystego otwarcia remizy wystąpili artyści z Warszawy, m.in. Mira Zimińska, o czym po latach wspominała będąc w Koninie z zespołem „Mazowsze”.

W remizie ogniskowało się życie towarzyskie i artystyczne miejscowej społeczności. Na placu ćwiczybnym organizowano latem majówki, a w głównej sali bale z konkursami i rozmaitymi atrakcjami. Przy remizie dzie-

łały teatry amatorskie, dziecięcy i dorosłych. Reżyserem przedstawień była Czesława Henzelman, znana jako Czesia Wiśniewska. Spośród wystawionych wielu sztuk szczególnie udanym widowiskiem była „Moralność pani Dulskiej”. Po tym występie na otwierającego postać Janka Dutkiewicza długo mówiono Dulski, a na Czesławę, która też grała, mówiono pani Dulska.

Pani Czesława angażowała się w pracę z dziećmi Szkoły Podstawowej nr 4, pierwszej w tej części Konina, ulokowanej w baraku. Dzieci tańczyły, zwyzywały w przeglądach powiatowych i wojewódzkich, z czego dumna była kierowniczką Genowefa Kanty. Wśród dzieci wyróżniali się akompaniatorzy Janek Wielgorecki i Leszek Stokowski.

Przez kolejne kilka lat Czesława Henzelman prowadziła zespoły artystyczne działające przy konińskiej kopalni węgla brunatnego. Układała programy na okolicznościowe imprezy, przygotowywała teksty, występowała jako aktorka, reżyserowała widowiska. Wystawiła w 1957 roku sztukę „Gwałtu co się dzieje”, ale najbardziej dumna była z napisanego i wyreżyserowanego wido-

wiska z okazji obchodów 1000-lecia państwa polskiego (w 1959 r.), „Lirik Ziemi Konińskiej”. Widowisko było obrazem historycznym przedstawiającym moment ustawiania słupa drogowego w Koninie. Za przedstawienie z udziałem osób dorosłych, m.in. Mariana Malińskiego,

Franciszka Kotwasa, Władysława Andrzejewskiego, Mariana Serafina i innych, autorka otrzymała nagrodę pieniężną od władz miasta.

Wtedy wśród grających w zespole chłopców wyróżniał się Darek Grabowski. Nie dość, że miał znakomitą pamięć, to jeszcze potrafił swoją grą zaintrygować widza. Nic dziwnego, że za zawsze obsadzany był w głównej roli w „Kopciuszku”, „Szatanie z siód-

mej klasy”, „Nowych szatach króla”. Te sztuki miały całkiem dorosłą oprawę. Scenografię przygotowywała kopalniana stolarnia. Pomocny był aktor-amator Władysław Andrzejewski. Charakterystyczą zajmował się pan Lebedew. Występy odbywały się w sali Domu Górnika, w remi-

zach w Czarkowie, w Niesuszu. Budynek remizy w Czarkowie pełnił funkcję sali gimnastycznej (1956-59), potem uruchomiono w nim kino „Energyk”, a po rozbraniu stoi w tym miejscu budynek Banku PKO SA.

Czesława Henzelman stale podnosiła kwalifikacje zawodowe. Została dyplomowaną instruktorem zespołów tanecznych i teatralnych. Za pracę społeczną i zawodową uhonorowano ją odznaką „Za zasługi dla miasta Konina” i Medalem 40-lecia Polski Ludowej.

**Wanda Wiśniewska-Kuźniak**



Widowisko „Lirik Ziemi Konińskiej” (autor i reżyser Czesława Henzelman)

Ze wspomnień

## Stary Konin — na nos wzięty

Każdemu z nas w większym lub mniejszym stopniu utrwaliły się w pamięci zapachy z dzieciństwa. Niektóre z nich kojarzą się z przyjemnymi zdarzeniami, inne wywołują przykre wspomnienia. Biegając po ulicach i podwórkach zapamiętałem różnorodne aromaty drażniące mój i rówieśników nos.

Warta, to rzeka, która wokół swoich brzegów, w zależności od pory roku, roztaczała różne zapachy. Okres zimy kojarzę z zapachem ścinanej faszyny, zapachem kawy i dymu z ognisk palonych przez pracowników ją wycinających. Wiosna to zapach budzącej się do życia trawy, bunię porastającej blonia nadrzeczne, woń kwiatów. Latem rzeka pachniała kąpiącymi się w niej dziećmi, kompotem z rabarbaru, przygotowanym przez mamy dla swoich pociech oraz zapachem bielizny, którą prały praczki na wystających z wody kamieniach. To przyjemne aromaty. Zdarzały się jednak przykre. Jesień obfitowała w zapach gnijących nad brzegiem rzeki liści. Do najgorszych należał zapach unoszących się wraz z nurtem śnieżytych ryb.

Wraz z dorastaniem nasze nosy stawały się wyczulone na zapach ślędzi, dolatujący z beczek ustawionych w sklepie spożywczym „u Dębowskiego”. Zakład fryzjerski, mający swoją siedzibę obok, „dostarczał” całą

gamę wonności. Dalej nasze receptory drażnił zapach unoszący się z kuchni restauracji „Europa”. Wystarczyło odwrócić głowę, a dolatywała woń kiszzonej kapusty z warzywniaków „u Silnego” i „Gilewskiego”. Z cukierenki, wdzięcznie nazwanej „Słodka Dziurka”, dochodził aromat ciastek tortowych, podobnie z lodziarni „Ptyś” przy ulicy Kramowej. Pachniało w aptece „u Liśkiewiczowej” balsamami i maściami, w pasmanterii „u Popińskiego” gumami i guzikami, pastą do obuwia w sklepie „u Globina”, a w domu towarowym z największą klientelą wromami skórzanymi, bielizną i ubraniami.

Przy ulicy Dąbrowskiego mieściła się „olejarnia”. Zadaniem zakładu była rektyfikacja między innymi tłuszczów pochodzenia zwierzęcego. O filtrach w latach mojej młodości nikt nie słyszał, ochrona środowiska była mrzonką. Pozostałości poprodukcyjne „ulatywały” w powietrze, a odpady płynne wylewano na pobliskie blonia. Powyższa mieszanina w okresie lata stawała się nie do wytrzymania zarówno dla mieszkańców przedmieścia, jak i odwiedzających tę część Konina. Na początku lat 60. panu o nazwisku Kral pozwolono otworzyć kawiarenkę. Była to prywatna inicjatywa (oj, nie lubiano wtedy takowej!). Lokal na działalność przydzielono w budynku, którego jedna ze ścian opierała się o budy-



zł. - ze zbiorów S. S.

nek olejarni. Podejrzewam, że udzielając lokalizacji spodziewali się, iż „prywaciarz” szybko ze swoich zamiarów zrezygnuje. We wspomnianej kawiarni można było kupić lody – i to jakie? Po pokonaniu biegnącej drogi do kawiarni z zatkaniem nosem, można było wszehobecny odór zamienić na bardziej przyjemne doznania. Mignęło wiele lat. Pozostałości wylewane na pobliskie blonia pochłonięła matka natura. Nie ma śladu po wylewiskach. Jednak ilekroć tamtędy przechodzę, w mojej pamięci odżywa utrwalaony z dzieciństwa zapach.

W starym Koninie w latach 50.-60. większość mieszkań pozabawiona była podstawowych wygód sanitarnych. By skorzystać z ubikacji, kłba, sławki, różnie się takowe nazywały,

należało wyjść na podwórkę, tam w ustronnym miejscu najczęściej budowano wspomniane przybytki. Starsi mieszkańcy idąc za potrzebą mawiali: „idę tam, gdzie król piechotą chodził”. Brzmiało to bardziej elegancko. Utrzymanie czystości w „ustronnym miejscu”, likwidowanie smrodu środkami chemicznymi, należało do wspólnoty i różnie z tym bywało. Niestety, ubikacje po bliżej niesprecyzowanym okresie zapelniały się fekaliami i wówczas należało ich zawartość wypompuć. W tym celu na podwórko wjeżdżał specjalnie do tego przystosowany beczkowiec i obsługujący go przystępował do swojej pracy. Zapach, jaki się wokół rozosił, zmuszał mieszkańców do zamykania okien i czekania na szybkie zakończenie czynności przynoszących Koninowi wapilny „urokliwy aromat”.

Plac targowy, czytaj targowica, znajdował się od zawsze, jak pamiętam, przy ulicy Wodnej. We wtorki i piątki, z wyjątkiem przypadających w dni świąt, dokonywano na nim różnorodnych transakcji handlowych. W każdy pierwszy czwartek miesiąca odbywały się na placu jarmarki. Wtedy z okolicy zjeżdżali również handlarze końmi i bydłem. Jakież tam roznosyły się zapachy! Obecnie targuje się każdego dnia produktami żywnościowymi. Wydzielenie dwóch dni w tygodniu na handel powodowało, że na targi i jego zapachy się „czekało”. Dni targowe stawały się „świętem” zarówno dla sprzedających jak i kupujących. Zmnożony ruch panował nie tylko na targowicy, przyjeżdżający do miasta przy okazji dokonywali zakupów w skle-

pach. Największym powodzeniem cieszył się targ w piątek. Na ulicy usłyszeć można było: – Dokąd idziesz sąsiadko? – Złociutka, na targ, niedziela „idzie”, należałoby coś upiec, a i świeże kwiaty do wazonu wstawić trzeba. W dni poprzedzające targ gdybań, czy jaja stanowią, czy „baba” ze śmietaną przyjedzie? – nie było końca. Wiosną i latem targowicę odwiedzał „Pan” na motorze. Dla nas nieważny był „Pan”, ani motor, nas interesowały tylko artykuły przez niego przywożone. Na przyczepie, w bardzo przemyślny sposób, miał zamocowaną nadbudowę z umieszczonymi w środku lodami. Podejrzewam, że obecnie, nawet przy najlepszej promocji, nie udaloby się o tych „arytaso” sprzedać. Wtedy, dla nas, stanowiły jedną z największych atrakcji. Te, lodo-podobne przysmaki zawijane były w papier pergaminowy. Z ich smaku zapamiętałem tylko zapach wanilii. Na targu pojawiał się również sprzedawca podpałek, przez miejscowych zwany „Józio Drzazga”. Nie pamiętam zapachu smolnych szczapek, ale sam jego smok pachniał swojsko denaturatem. Zapach kupowanych na targu jabłek, obwarzanków, miodu, malin na zawsze „zdomowili” się w mojej głowie. Woń, jaka towarzyszyła mi podczas pobytów z rodzicami w sklepach: „u Hansa”, „Rakowiczowej”, „Switaja”, „PlacHECKIEGO”, „Kopisiewicz”, „po Opasie”, w „Zelaznym” przypisana jest staremu Koninowi. Dzisiejszy dzień jest bardziej kolorowy, pełen reklam i promocji. Nie poruszając aspektu finansowego, obecnie brakuje w nim „tego czegoś”, co w sposób naturalny gościło w sercach sprzedawców i właścicieli sklepów. Można, że kieruje mój sentyment do tych lat „sielskich i anielskich”, jak pisał Mickiewicz, lecz miło jest do nich w chwili „zagubienia” wracać.

**wierny aż do bólu starokoninianin**  
**Tadeusz Włodzimierz**  
**Kowalczykiewicz**

Wystawa zatytułowana: *DAWNY KONIN (ikonografia miasta i pamiętki historyczne)* potraktowana została jako stała ekspozycja regionalna konińskiego muzeum, chociaż można ją również uważać – w związku z dalszymi planami rozbudowy ekspozycji – jako prezentację czasową.

Zgodnie z podtytułem skupiono się głównie na prezentacji materiałów ikonograficznych, rejestrujących rozwój urbanistyczny i architektoniczny miasta na przestrzeni XIX i XX stulecia; wykorzystano kilkanaście najważniejszych ujęć wykonanych w formie powiększonych fotografii ze znanych, wiodących dla dziejów Konina zdjęć, z dużym wykorzystaniem zbioru kart pocztowych złożonych w zasobie Działu Historycznego Muzeum Okręgowego w Koninie (MOK) i częściowo (w kilku przypadkach) w zasobie Archiwum Państwowego w Poznaniu – Oddział w Koninie.

Tak więc w szczególności zaprezentowano trzy wiodące dla całości ekspozycji fotografie o dużych rozmiarach: most na odnodze rzeki Warty, przy kościele farnym św. Bartłomieja, ujęcie z okresu I wojny światowej wg fotografii autorstwa Marcello Pecherskiego. Zalew rzeczny widoczny na zdjęciu, będący w części pozostałością średniowiecznej fosi, istniał w kształcie niedużego kanału jeszcze na przełomie lat 70. i 80. XX w., most natomiast rozebrano dużo wcześniej w latach 40. po II wojnie światowej.

Drugi przewodni fotogram przedstawia uroczystości na konińskich błoniach przy kryżu Tarejwy, w dniu 10

## Dawny Konin (ikonografia miasta i pamiętki historyczne)

lipca 1921 r. Znamienita to data dla naszego miasta, gościł wówczas w Koninie Naczelnik Państwa Marszałek Józef Piłsudski, przybywszy specjalnie na uroczystość poświęcenia sztandaru stacjonującego w tym czasie w Koninie 18. pułku piechoty. Zdjęcie autorstwa M. Pecherskiego w tekturowej oprawie *passé-partout* rozprowadzane było przez konińskie zakłady fotograficzne, jako szczególna pamiętka w okresie międzywojennym.

Trzeci wreszcie fotogram dużych rozmiarów prezentuje budowę tzw. nowego Konina, miasta na prawym brzegu Warty. Obiektów Ryszarda Förmanka zarejestrował plac budowy na skrzyżowaniu Alei I Maja i ulicy Dworcowej. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w połowie lat 60. XX w.

Celom poznamy wystawy mają służyć różnorodne materiały kartograficzne, dobrze korespondujące z ikonografią: cztery plany sytuacyjne Konina: oryginalny obiekt z 1816 r. oraz kserokopie wykonane z planów miasta złożonych w zbiorach Archiwum Państwowego w Poznaniu: plan z 1938 r., niemiecki plan sytuacyjny z 1940-1944 r. oraz plan Konina z okresu bezpośrednio powojennego (1946 r.).

Pewne odcinki tematyczne całości prezentacji wykraczają poza określone wyżej ramy czasowe XIX-XX w. Przedstawiono np. wiodący dla miasta zabytek romański – słup drogowy z inskrypcją z 1151 r. (tzw. potocznie *Shup Milowy*), w formie ujęcia fotograficznego. W sąsiedztwie słupa istnieje symbole romańszczyzny: dwa ujęcia z najstarszej zabudowy kościoła św. Piotra i Pawła w Starym Mieście: bryła architektoniczna kaplicy staromiejskiej i portal z Ukrzyżowanym Chrystusem.

Poszczególne elementy ekspozycji niejako zderzają się kontrastowo ze sobą, ale taki właśnie jest Konin, miasto kontrastów, gdzie ślady przeszłości przeplatają się ze współczesnością. – Dawny, średniowieczny gród, mający swój początek w gródzisku nad obecną rzeką Pową, następnie w osadzie targowej nazwanej z czasem Starym Miastem, lokowany został na nowym (dzisiejszym) terenie według zasad ekonomiczno-prawnych i urbanistycznych tzw. prawa magdeburskiego w końcu XIII stulecia. Przez długie wieki był to ośrodek miejski raczej średniej wielkości, siedziba powiatu, rozrósł się po II wojnie światowej do rozmiarów dużego, obecnie blisko 90-tysięcznego mia-

sta. Z uwagi na rozmiary i układ sali wystawienniczej, co warunkowało w dużym stopniu rozwiązanie plastyczne-techniczne, zrezygnowano raczej z zachowania klasycznego porządku chronologicznego, chociaż starano się stosować podstawową periodyzację historyczną, wyraźnie wydzielać tematyczne odcinki prezentacji: Konin przedwojenny, miasto w okresie okupacji hitlerowskiej oraz Konin powojenny. Kończy zrealizowany w ten sposób układ zestaw zdjęć niemalże współczesnych (z 2000 r.), urozmaicony także istotnymi dzisiaj symbolami: herbem Konina i flagą Unii Europejskiej.

Elementy ikonograficzne stanowią pierwszą linię narracyjną wystawy, ale – zgodnie z podtytułem ekspozycji – jest i druga linia narracji, sprowadzona do przedstawienia pamiętek historycznych. Zawartość poszczególnych gablot myślę, że dobrze oddziela od siebie różne wątki tematyczne. I tak w szczególności: zestaw obiektów związanych z *Milowym Szupem* (pocztówki, plakietki, statuetki) zaświadcza, jak istotnym, symbolicznym, pełniącym rolę drugiego herbu, jest w świadomości mieszkańców Konina *Shup Milowy*. Wykorzystuje się jego przedstawienie przy okazji nie tylko spotkań – konferencji historycznych, ale także w związku z imprezami kulturalnymi, sportowymi itp.

Zaprezentowano szeroki wachlarz obiektów falerystycznych: odznak, odznaczeń, znaczków pamiątkowych, złożonych w Gabinetie Numizmatycznym MOK. Przy czym należy podkreślić, że niemal wszystkie z nich zwi-

zane są w jakiś sposób z miastem i ludźmi, którzy tutaj żyli: odznaka działającej w Koninie międzywojennym Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Maloletnych nr 1, odznaki Konińskiego Towarzystwa Wioślarskiego, znaczki Ligi Morskiej i Kolonialnej, Ligi Obrony Powietrznej Państwa, także odznaczenia powojenne przyznawane za usługi dla miasta, powiatu, województwa konińskiego. Tradycyjnie już – dlatego, że jest to jedna z wiodących historycznych kolekcji MOK – zaprezentowano częściowo zbiór obiektów związanych z konińskim rzemiosłem: dokumenty, tłoki pieczętne, obesłania, insygnia i skrzynie cechowe. Wydzielono zestaw pamiętek z okresu okupacji hitlerowskiej (listy, grypsy obozowe – np. pamiętki po Przemysławie Malarzu, niemieckie karty pocztowe, dokumenty z odciskami tuszowymi hitlerowskiej swastyki i gumowy tłok pieczętny niemieckiego Katasteramtu).

W wydzielonej, ale integralnej części wystawy – w nawiązaniu do kolekcji judaików – zrealizowano podtemat: *Z życia społeczności żydowskiej w Koninie w XIX-XX w.*

Wystawa adresowana jest do szerokiego spektrum ludzi odwiedzających siedzibę konińskiego muzeum – zamek w Gosławicach, zarówno koninian, jak i zwiedzających wschodnią Wielkopolskę turystów. W szczególności pomyślana została jako tło ilustracyjne do przeprowadzenia regionalnych lekcji muzealnych, stąd zachęcamy młodzież szkolną i jej wychowawców do zapoznania się z ekspozycją.

**Janusz Gulczyński**

## Do Redakcji

Z przyjemnością czytam kolejne numery „Koninianów”, z przyjemnością, bo poznaję dzięki nim historię i dzieje Konina. Chwała Redakcji, bo publikacji na temat Konina chyba nie ma zbyt dużo.

Do ostatniego numeru poświęconego w całości Zofii Urbanowskiej poproszono mnie o narysowanie odnowionego dworku pisarki. Rysowałam z sympatią do Redakcji, bo dworek jest mniej malowniczy niż bloki z wielkiej płyty na nowych osiedlach.

Na archiwalnym zdjęciu, w książce poświęconej miastu sympatyczny domek, przybudówki, dach z czer-

woną, ceramiczną dachówką, mansardowe okna, drewniany ganek, różane krzewy...

Dzisiaj betonowo-plastikowy klocek, osadzony w szarym, nijak zaprojektowanym otoczeniu, śladu tzw. małej architektury, chociażby marnej doniczki z kwiatkiem, a potem... lektura i zdziwienie, albo może z moim poczuciem estetyki coś nie tak...

Z artykułu Pana Hejmana dowiaduję się, że modernizacji dworku dokonała firma „Unikon”, ale w tym wszystkim bardziej istotny jest fakt, że stało się to pod okiem konserwato-

ra zabytków i to, że firma otrzymała odnowienie Nagrodę Ministra Kultury.

Na stronie obok, młoda Zofia Urbanowska pisze do „Gazety Polskiej” o Koninie: ...porządkiem nie możemy się pochwalić... brak szkół... park zaniedbany... a obrazy w kościele... nie tylko, że nie zalecają się estetyką, ale najprostszych prawideł rysunku są pozabawione... Dzisiejszy Konin jawi się na szczęście w o wiele lepszym świetle, tylko co napisałaby Pani Zofia o swoim „odnowionym” dworku?

Mirosława D.

## Odpowiedzi redakcji

Z olbrzymim wzruszeniem zamieszczamy list p. Jadwigi Grzegorzyc z ulicy Marii Dąbrowskiej – takie listy uzasadniają sens naszej pracy, są nagrodą i satysfakcją przy redagowaniu „Koninianów”. (list drukujemy w prawie niezmiennionej formie)

Po przejrzeniu gazety [Przegląd Koninowski nr19 – przyp. red.] zobaczyłam zdjęcie grupowe, w którym się rozpoznałam. Na tym zdjęciu grupowym mam założony kapeluszek Muchomorka. Mając dziś 73 lata bardzo się wzruszyłam tym zdjęciem, nie spodziewałam się, że kiedykolwiek zobaczę swoje zdjęcie w gazecie. Dziękuję redakcji, że przypomniała mi moje dzieciństwo, które spędziłam w tym przedszkolu. Jadwiga Grzegorzyc.

Przypomnijmy, że zdjęcie wykonano w ogrodzie Urbanowskiej, pod koniec lat 30., gdy jeszcze żyła nasza literatka, widoczna w centralnym miejscu w otoczeniu sióstr zakonnych, które przedszkole prowadziły i władz miasta. Dzieciom towarzyszą zapewne rodzice.

Mieszkam w Koninie od wielu lat, ale jestem tutaj przybyszem. Urodziłam się w Poznaniu i tam mam swoje magiczne miejsca wspomnień spacerów z Ojcem, Mamą, pierwszych randek.

Rysowanie „konińskich obrazków” stało się sposobem na nawiązanie bardziej emocjonalnego kontaktu z miastem, ale „obrazki” to niekoniecznie najpiękniejsze miejsca w Koninie. Bardziej malownicze są popękane ściany i wykrzywione przez czas deski,

niż świeżo otykowane domy.

Kolorową kredką lub czarnym tuszem, ze szczególnym upodobaniem rysuję konińskie podwórka. Pełno tam różnych przybudówek, składzików, koślawych galeryjek i schodków.

W wielu domach, „po dawnemu”, okna otwierane na zewnątrz. Piętrzą się drewniane balkoniki, a na wydeptanej nierówno ziemi, gdzie przy murze, rosną nieśmiało wątle kwiatki. Kostropate murki, rozpięte kolorowe pranie i daszki opadające w różne stro-

ny. Tajemnicza wieża, turkusowa lawka na tle żółtej ściany, obok różowe drzwi – to ulubione podwórko przy ulicy Wodnej.

Urokliwe odchodzą. Wielu zakątków, utraconych na moich rysunkach już nie ma.

Usłyszałam niedawno, że w Koninie tematu do rysowania starczy zapewne na co najwyżej 20 obrazków, a ja z przyjemnością odkrywam stale nowe i jest ich zdecydowanie więcej.

Mirosława Dimitrow



zdj. - P. Hejman

## Koński kącik

Koń jest wdzięcznym obiektem utworów poetyckich. Przytoczymy z konieczności tylko dwa wiersze na jego temat.

Poniżej jedna zwrotka wiersza Orta (Artura Oppmana) **Somo-Siera, opowiadanie szwoleżera** „(...)Miałem szkape, jak siarka, ojcowskiego chowu/ Ściąga jak wiatr, krwi wschodniej, bez wad, bez narowu, / Gniada, w pończoszkach białych na przednich pięcinach; / Więc gdy kapitan po nas spojrzal jak po synach / I sformował kolumnę czwórkami z prawego- / Cugłem puścił swobodnie na grzywę gniadego, / A on, ledwie posłyszał: „Marsz! marsz!, jak mi skoczy! / - I zaraz mgła mi krwawa przesłoniła oczy!”

Robert Stiller **Jaki ma być koń** (wg pieśni arabskich) Szukam konia/

którego bym nie musiał zastąpić innym / ogiera ciemnoszarej maści/ który z podlejszymi wrogami sam się upora / nie przerywając mego zamyślenia/ ... Szukam konia / którego oczy wytrzeszczone i rozdęte chrapy/ grzywa rozwiana i żeby wyszczerzone/ przy całej piękności/ będą przerażać jak widok złego ducha/ ... Szukam konia/ którego nie okiełza łatwo nawet przyjaciel/ na którego grzywie nie położy dłoni kobiecia/ który mi będzie przeszkadzał w radzie/ z chrapaniem wdzierając się do namiotu/ i tratując dzieci. Szukam konia aby jeździć na nie ujeżdżonym/ i przyjaźnić się nie odkładając korbacza/ konia co rzy jak wiedźma/ konia z diabłem w sercu/ konia który się wykrada po nocy/ konia lepszego niż ja sam/ abym ja się musiał stać jeszcze lepszy.

Wybrał L.H.



## Fotozagadka

Czekamy na odpowiedzi



Byli konińskie eleganci, teraz rozpoznajemy dżentelmenów